

Tadeusz Dołęga-Mostowicz



Ich dziecko

Tadeusz Dołęga-Mostowicz

Ich dziecko

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Tadeusz Dołęga-Mostowicz
„Ich dziecko”

Copyright © by Antoni Stefański, 1937
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Drukarnia „Linolit”
Wydawnictwo: Towarzystwo Wydawnicze „Rój”
Mikołów, 1937

ISBN: 978-83-8119-390-0

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

Było to w owe dni, kiedy linia frontu, jak ognista wstęga gnana wiatrem, od wschodu posuwała się naprzód z nieprawdopodobną szybkością, niczym pożar w wyschniętym stepie. Zwijała się w konwulsyjnych skrętach, naprężała się jak cięciwa łuku, zrywała się i wiązała w supły, lecz wciąż biegła na zachód, pochłaniając coraz to nowe wsie, miasta, ziemie, coraz gwałtowniej, coraz chciwiej wdzierając się w Rzeczypospolitą.

W Warszawie, w Sztabie Generalnym, szeleściły złowrogo szare arkusze map, chyliły się nad nimi poorane zmarszczkami czoła generałów, zaczerwienione od bezsenności oczy, liczyły gorączkowo kilometry, i godziny, transporty i oddziały, siły wroga i własne.

Przez otwarte okna wlewało się upalne lato, wlewał się gorący oddech miasta, oddech szybki, nierówny, drgający podnieceniem, przerywany przejmującym krzykiem:

— Do broni!... Do broni!...

Drżało i rozplómięniało się w tym okrzyku każde serce, budziły się najmniej czułe sumienia, zaczynała pulsować najzimniejsza krew, z niewiarygodną łatwością rozsypywały się w gruzy przemyślnie teorie, wątpliwości, obawy, a nawet zwykły egoizm, zwykły strach.

— Do broni!... — wołały jaskrawymi literami plakaty.

A pod nimi jak urzeczony stały grupki ludzi, wpatrując się w to krótkie wezwanie, w to wezwanie napęczniałe treścią,

którą trzeba było już w duszy własnej odczytać.

— Do broni! — wołali z przygodnych mównic siwowłosi weterani sześćdziesiątego trzeciego roku, a po ich twarzach spływały łzy, niewiadomo, czy łzy szczęścia, iż oto znowu po wielu latach to wezwanie narodowi rzucić mogą, czy łzy rozpacz, że sami już karabinu nie udźwigną.

— Do broni! — krzyczało wszystko, co żyło. Ulicami przeciągały pochody, na placach gromadziły się tłumy. Przed biurami werbunkowymi stały długie kolejki. Ochotnicy. Setki, tysiące, dziesiątki tysięcy...

Naród, jak wielki, potężny zwierz, ocknął się i „wzbudził gniew w piersiach swoich”.

Polnymi drogami, pośród zielonych zbóż szli młodzi chłopcy z tobołkami na plecach, z małych cichych miasteczek, z wielkich miast, z ubogich dzielnic robotniczych i z białych pałaców, z ław szkolnych, z biur, z warsztatów i sklepów szli, napływali ochotnicy. A gdy jeden drugiego spotkał, gdy jeden drugiemu w oczy spojrzał, odnajdywał w nim swoje myśli, swoje uczucia, swoje pragnienia i nadzieje, odnajdywał brata, nawet więcej niż brata, bo samego siebie.

Z głębi kraju sunęły na wschód długie, czerwone pociągi, pełne żołnierskiego śpiewu. Śmiały się młode twarze, w oczach paliła się zuchowata ciekawość, w mózgach żądza bohaterstwa, a serca biły szybciej, a krew pulsowała mocniej, a ręce ścisnęły groźniej broń, którą ledwie poznać zdążyły.

Odprawdzały tych chłopców miliony rąk kreślących za nimi znak krzyża, miliony westchnień, życzeń i ślubowań.

A w Naczelnym Dowództwie dniami i nocami terkotały aparaty Hughesa. Niestrudzone, monotonne przynosiły

i wysyłały meldunki, rozkazy. Dzień i noc terkotały Hughesy, dzień i noc warczały motocykle łączników, dzień i noc dzwoniły telefony, a w korytarzach rozlegał się tupot przyśpieszonych kroków.

Właśnie blady, pogodny świt zaczął rozjaśniać niebo, gdy otworzyły się drzwi gabinetu i adiutant z białą kartką w rękę wybiegł, by ją bez straty minuty czasu wręczyć telegrafście. Zaterkotał aparat, a w pół godziny później, na odległej o setki kilometrów stacji zatrzymano długi czerwony pociąg, cofnięto go, przestawiono zwrotnicę i skierowano w innym kierunku.

„Pozycje na odcinku Lewocha — Towiaty muszą być utrzymane za wszelką cenę do piątku włącznie”.

Na odcinku Lewocha — Towiaty wgrzył się w ziemię mocno już poszczerbiony pułk piechoty. Z za lasu trzy baterie połówek ziały nieustannym ogniem, zasypując polskie okopy piaskiem i darnią. W ciągu dwóch dni czternaście razy ruszała bolszewicka tyraliera do ataku. Sześć razy kozacy zrywali się do szarży, by sforsować groblę. Szeroko rozciągające się soczyste, zielone łąki zryte były niczym świński wygon lejami po granatach, na grobli piętrzyła się góra trupów końskich i ludzkich. Gdy wiatr zmieniał kierunek zaduch rozkładających się ciał zalewał okopy. Żołnierze, którzy od dwóch dni nie mieli w ustach ciepłej strawy, dostawali nudności.

Zresztą i tu trupów nie brakowało. Trudno było nadażyć z grzebaniem. Dowódca pułku z posępną miną patrzył na wciąż wydłużającą się listę poległych. Z drugiej kompanii zostało dwudziestu trzech a z czwartej — ośmiu ludzi.

„Pozycje na odcinku Lewocha — Towiaty muszą być utrzymane za wszelką cenę do piątku włącznie” — czytał

dowódca pułku telefonogram i na jego twarzy zjawił się blady uśmiech. Przecież wiedział że do piątku nie będzie już miał nawet stu bagnetów.

Już wczoraj miały nadejść posiłki: batalion nie wyćwiczonych wprawdzie, lecz za to ochotników. Bądź co bądź materiał świeży. Tymczasem gdzieś na kolei zrobił się zator i Bóg wie, kiedy przybędą.

O zmroku bolszewicy znowu ruszyli do ataku. Zaszczękały gwałtownie karabiny maszynowe. Pod ich ogniem czerwoni trzy razy cofali się, lecz za czwartym zdołali dotrzeć do okopów. Zawyły ręczne granaty i już po chwili przyszło do starcia na bagnety. Jednocześnie korzystając z zamilknięcia maszynek, kozacy ruszyli ku grobli. Na szczęście pilnujący ze swą kompanią mokradeł, porucznik Zabielski zdążył zorientować się w sytuacji i przysunąwszy swój oddział do samej grobli, zamknął ją ogniem.

Bitwa trwała w całej pełni, gdy na odległej o półtora kilometra stacji Towiaty zatrzymał się wreszcie oczekiwany tak dawno pociąg z posiłkami. Czekał tu już na nich adiutant dowódcy pułku z rozkazem. Żołnierze wysypywali się z wagonów. W ciemności i w zamieszaniu formowały się szeregi i już po pięciu minutach wyteżonym marszem ruszyły ku okopom.

Kompania, w której był Justyn Kielski, od razu została skierowana na prawe skrzydło gdzie nieprzyjaciel zdołał już wyprzeć z okopów trzecią i resztki czwartej kompanii, a zachodząc od Chominowa, mógł wedrzeć się na tyły. Pod Chominowem gęsto terkotały karabiny i raz po raz wyrastały w ciemnościach ogniste krzaki wybuchających granatów

ręcznych. Od zarośli dolatywało wycie kilkuset gardzieli:

— Urraaa!... Urrraaa!...

— Kompania biegiem! — zakomenderował porucznik Libawski.

Justyn biegł w pierwszej dwójce. Plecak stawał się coraz cięższy, serce łomotało gwałtownie.

— Więc to tak wygląda wojna — myślał.

Gdzieś daleko odezwały się armaty. Nad głowami z przeciągłym jękiem przelatywały pociski, których celem widocznie była stacja kolejowa, gdyż w tamtej stronie raz po raz rozlegały się głucho detonacje.

Wpadli teraz na kartoflisko. Było bardzo trudno biec przez brózdy. Nogi plątały się w naci. W piersiach nie starczało tchu.

— Urraa!... Urrraaa!... — dobiegał od zarośli nieustający ryk.

Na lewo na czarnym tle chominowskich sadów, wytryskiwały światełka: to cofający się odstrzeliwali się bezładnie lecz gęsto.

Oddział Justyna został zatrzymany na skraju łąki. Jak najciszej rozlokowano się w suchym, dość głębokim rowie. Nieprzyjaciel widocznie nie spodziewał się niebezpieczeństwa od flanki, gdyż parł wciąż naprzód. Już w mroku można było rozróżnić szybko poruszające się grupki bolszewików. Najwidoczniej chcieli zepchnąć Polaków ku zabudowaniom wioski i jednym zamachem zająć stację kolejową.

Porucznik Libawski miał zimną krew, przypuścił ich na kilkaset kroków. Sto kilkadziesiąt karabinów odezwało się jednocześnie. Raz, drugi trzeci...

Ręce Justynowi drżały. Strzelał nie celując, widział wprawdzie biegnące i padające postacie, ale wszystko to wydawało mu się

nierealne i nie tyle straszne, co dziwne. Lecz najważniejsze było to, że wcale nie odczuwał lęku. W głębi duszy zawsze uważał siebie za tchórza, a oto jest na froncie, jest w bitwie i nie boi się bynajmniej. Podniecenia i oszołomienia nie można przecież nazwać strachem.

Bolszewicy już po minucie zorientowali się w sytuacji i rzucili się do odwrotu.

Kompania por. Libawskiego ruszyła gęstą tyralierą za nimi. Po chwili połączyła się z oddziałem od Chominowa i okopy zostały odzyskane w niespełną godzinę. Minęli je, posuwając się wciąż naprzód wśród nieustannego grzechotu karabinów. Z dowództwa pułku przyszedł rozkaz okopania się wzdłuż polnej drogi, gdzie falistość terenu dawała korzystniejsze warunki obronne, niż na dawnej pozycji. Toteż, gdy około północy zamilkła bolszewicka artyleria i zapanował na linii spokój, po stronie polskiej zaczęły pracować łopaty. Do świtu wszystko było gotowe.

Szeregowiec Justyn Kielski wraz z czterema kolegami został przydzielony do obsługi karabinu maszynowego, którego gniazdo znajdowało się na wierzchołku niedużego pagórka w leju, pozostałym po wybuchu granatu bolszewickiego. Komendę sprawował tu kapral Marek Domaszewicz, wysoki, barczysty blondyn, nie o wiele starszy od swoich podkomendnych, lecz wzbudzający w nich, jako w nowicjuszach zaufanie i szacunek nie tylko szarżą i aureolą doświadczonego żołnierza, lecz i tym niezachwianym spokojem w ruchach i głose tym tonem, który znamionował urodzonego zwierzchnika.

— Wasze nazwiska? — zapytał krótko.

Meldowali się po kolei, gdy Justyn wymienił swoje, kapral zapytał:

— Czy jesteście spokrewnieni z historykiem malarstwa Bernardem Kielskim?

— Tak jest, panie kapralu, to mój ojciec.

Miał wielką ochotę zapytać, czy kapral zna jego ojca osobiście, czy tylko z książek, obawiał się jednak, że byłoby to zbyt poufale w stosunku do przełożonego. W każdym razie poczuł doń odrazu wielką sympatię. Dzięki niemu po raz pierwszy od trzech tygodni, to jest odkąd włożył na siebie mundur, przestał być anonimowym szeregowcem, po raz pierwszy odnalazł siebie, Justyna Kielskiego, i to napełniło go radością.

Nie czas jednak było na rozmyślania. Kapral Domaszewicz zaczął objaśniać konstrukcję karabinu maszynowego i pokazywać jak należy obchodzić się z tą bronią. Podczas krótkiego, bo zaledwie półmiesięcznego przeszkolenia w kadrze nie uczono ich tego. Po wykładzie kapral egzaminował podkomendnych kolejno. Najlepiej wypadł egzamin szeregowca Duchonia. Okazało się, że w cywilu był on czeladnikiem ślusarskim i pracował w arsenale. Gdy i odpowiedzi Kielskiego okazały się dobre, a jego próby manipulowania przy maszynie też nie zawiodły, kapral zapytał:

— Jesteście studentem?

— Studiuję architekturę, panie kapralu.

— W Warszawie?

— Tak jest, panie kapralu.

— No, to jeżeli obaj wrócimy z tej wojny, będziemy

kolegowali.

— Niezmiernie jestem rad, panie kapralu — szczerze wybuchnął Kielski.

— Właściwie studiuję rolnictwo, ale zamierzam również zapisać się na architekturę. Będziemy kolegami.

Wyciągnął do Justyna dużą, silną rękę.

Niebo nad lasem zaróżowiło się.

— Już niedługo słońce wzejdzie — powiedział kapral Domaszewicz. — Zdrzemnę się godzinę.

Położył sobie jeden z plecaków pod głowę i po chwili już spał.

— Morowy chłop — szepnął z uznaniem szeregowiec Duchoń.

Justyn w milczeniu przyglądał się spalonej na brąz twarzy śpiącego.

Wkrótce po wschodzie słońca odezwały się baterie nieprzyjacielskie, zaś po trzygodzinnej kanonadzie bolszewicy ruszyli od ataku. Wzdłuż całej linii zaterkotały karabiny maszynowe. Kapral Domaszewicz bez pośpiechu kierował swój, przeważnie na grupki, ciągnące biegiem „Maksimy”.

— Najważniejszą jest rzeczą — tłumaczył — unieszkodliwić ich maszynki, zanim zdołają je umieścić i okopać.

Swoją receptę zaś tak skutecznie wprowadzał w czyn, że do południa nie udało się bolszewikom uplasować przed ich odcinkiem ani jednego „pieska”. Wkrótce nieprzyjaciel zaniechał ataków, natomiast jego artyleria widocznie zdobyła lepszego obserwatora, gdyż pociski zaczęły gęsto padać na polskie okopy. Z pagórka Justyn widział jak na dłoni swoją kompanię, cofającą się ku zaroślom. W tej samej chwili granat wyrznął w lewy stok pagórka i Justyn po raz pierwszy zobaczył śmierć: szeregowiec

Duchoń stoczył się do leja. Wybuch zerwał mu połowę czaszki.

Upadł z rozkrzyżowanymi rękami. Na piasek bluzgała jaskrawo czerwona krew.

— Jezus, Maria! — wyszeptał jeden z żołnierzy.

Justyn był blady, jak płótno. Przed minutą częstował Duchonia papierosem, przed minutą leżał obok niego na krawędzi leja...

— Biedak — mruknął Domaszewicz — jeszcze wojny nie powąchał i już po nim.

W kwadrans potem drugi pocisk spadł tuż przy wzgórzu, a jego odłamki zraniły dwóch szeregowców: Łomacki dostał w sam łokieć i wył z bólu, Kosiak trzymał się oburącz za udo, z którego obficie spływała krew.

— Do licha! — zaklął kapral. — Macie opatrunki?

Mieli w plecakach. Domaszewicz z wprawą zabrał się do bandażowania. Gdy skończył, powiedział:

— Wy, Żurkowski, musicie ich odprowadzić na tyły, do wsi. Tam zameldujecie się u dowódcy i powtórzycie, że zostałem tu przy maszynce tylko z szeregowcem Kielskim. Proszę o przysłanie czterech albo pięciu ludzi. Amunicji mam dość. Żarcia też.

Żurowski z pojękującym Łomackim wzięli pod rękę Kosiaka i pokuśtykali ku swoim. W leju zostali Domaszewicz i Kielski.

— No, otrząśnij się bracie — zawołał kapral — napatrzysz się jeszcze lepszych rzeczy.

Justyn siedział z podkurczonymi nogami i nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Ziemia w leju nasiąkała rudymi plamami. Trup Duchonia leżał bezwładnie, jak worek. Nad głowami wyły wciąż

przelatujące pociski.

— Bądźcie mężczyzną! — uderzył Justyna po ramieniu kapral.

— Ja... ja...

— No, co?

— Boję się.

Domaszewicz zaśmiał się:

— To ci nowina! A kto się nie boi?... Ja też się boję. Ale widzisz bracie, to moja prywatna sprawa. Każdy powinien chować dla siebie swój strach. Na tym polega żołnierka.

Justyn potrząsnął głową.

— Nie potrafię być żołnierzem...

— Bajki.

— Widzę przecie... Jestem do niczego.

Domaszewicz usiadł przy nim:

— Jak pan sądzi? — zapytał. — Czy ja nie przeżywałem na początku podobnych chwil?

— Myślę, że nie.

— Otóż właśnie, że tak. Tylko nauczyłem się panować nad nerwami. Idąc na front przecie każdy wie, że czeka go śmierć. Jeżeli zaś chodzi o kalectwo, no, to też nie pożałuje pan przecie dla ojczyzny swojej ręki czy nogi. Napewno myślał pan też o tym, wstępując do wojska.

— Oczywiście.

— Więc skąd ten lęk?... Nerwy. Tylko nerwy. Strach instynktowny, fizjologiczny. A zdając sobie z tego sprawę, człowiek inteligentny, potrafi nad tym zapanować.

— Będę się starał — szepnął Justyn.

— To jest dobry, bardzo dobry sport, bracie, taka walka z lękiem! Człowiek czuje swoje człowieczeństwo. Nabiera do siebie szacunku.

Poklepał Justyna po kolanie, wstał i gwizdząc jakąś melodię, podczołgał się do krawędzi leja, by rzucić okiem na siną linię lasu na horyzoncie, skąd lada minuta mogli znów ruszyć bolszewicy do ataku.

Justyn pomału wracał do siebie. Przyjacielski ton kaprała i jego argumenty zrobiły swoje. Uczuciowa, wrażliwa, może nawet przewrażliwiona natura Justyna wchłaniała szybko każdy nastrój. Poczł też niewymowną wdzięczność dla tego obcego człowieka, dla zwierzchnika bądź co bądź który zamiast wyśmiać lub zwymyślać podkomendnego, odniósł się doń tak serdecznie. Powinien mu powiedzieć:

— Jestem szczęśliwy, naprawdę szczęśliwy, że pana poznałem.

Ale powiedzieć to mało. Trzeba mu dać dowód, że mu uwierzył, że nie pożałuje wysiłków, by opanować nerwy...

— Nie, przed zmierzchem nie ruszą się — z przekonaniem oświadczył Domaszewicz, zsuwając się na dół. — Myślą, że wykurzą nas polówkami.

— Ale nie wykurzą?

— Nie ma mowy. Oczywiście zamieszania narobią. Ale nie ustąpimy. Mamy podobno rozkaz wytrwać do piątku. Jeszcze trzy dni. Nie bez tego, by nam tu nie podesłali pomocy. Przydałyby się ze dwie baterie. No, czas coś przegryźć.

Wydobył puszkę konserw i zabrał się do otwierania jej przy pomocy bagnetu.

— Wyście pewno też głodni? — spojrzął na Kielskiego i złapał jego wzrok, skierowany na trupa Duchonia. — A tak, musimy go pochować. Pomóżcie mi.

Z wysiłkiem dźwignęli zwłoki i wyciągnęli je na stok pagórka. Tu złożyli ciało w jednym z lejów i przysypali ziemią. Domaszewicz rozejrzył się:

— Ani kawałka drzewa — mruknął. — Biedak, nawet krzyża nie będzie miał.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

